NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie w mi jscu 1456·— Marek, z przes. 1482·— Mk. Półrocznie 2964·— Mk. Rocznie 5928·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp. na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50 %, zagraniezne o 100 % drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 673.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień“, Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 120 Marek.

Rok XIX. Kraków, 17 czerwca 1922. Nr. 24.

Straszne sceny na tonącym okręcie

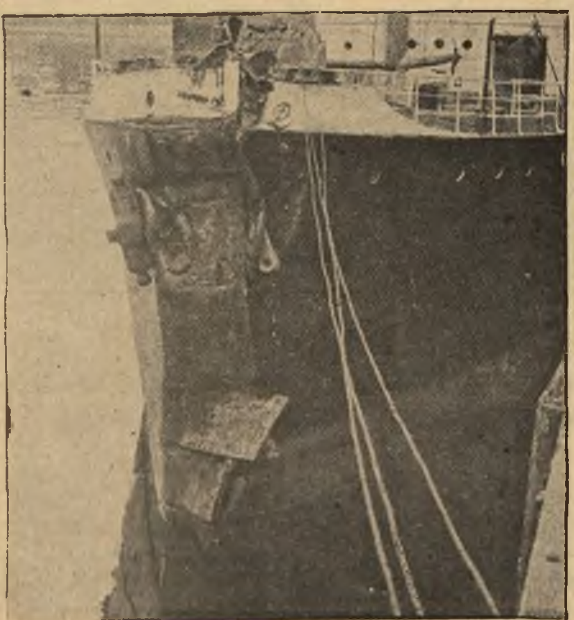


Hindusi, stanowiący załogę „Egiptu“, wzbraniają publiczności dostanie się do łodzi ratunkowych.

Straszne sceny na tonącym okręcie.

(Do ilustracyi tytułowej i ilustracyi w tekście).

W ostatnich dniach maja był Kanał La Manche u swego wylotu ku Oceanowi Atlantyckiemu miejscem strasznej katastrofy okrętowej, której ofiarą padł angielski parowiec pocztowy „Egipt“, płynący z Londynu przez Marsylię do Bombaju. Statek ten, pełniący od lat dwudziestu swą służbę na tej rucie, opuścił wybrzeże angielskie z załogą i pasażerami o ogólnej liczbie około trzystu osób i już w kanale natknął na tak gęstą mgłę, iż posuwanie się naprzód



Straszne sceny na tonącym okręcie: Parowiec francuski „Seine“, który skutkiem zderzenia z „Egiptem“ doznał poważnych uszkodzeń.

nawet przy zastosowaniu najdalej idących środków ostrożności, groziło każdej chwili katastrofą.

W odległości 20 kilometrów od latarni morskiej w Ar-Men nastąpiło zderzenie nieoczekiwane okrętu angielskiego z francuskim statkiem „Seine“. Statek ten znajdował się na morzu, płynąc od Havru. Mgła stawała się coraz gęstsza. Kapitan okrętu francuskiego dawał pilne baczenie na wszystkie sygnały i manewry innych okrętów na morzu w owej porze znajdujących się. Zaszła nawet potrzeba zmniejszenia jego szybkości do pięciu węzłów na godzinę.

Nagle, zanim usłyszano sygnały alarmowe zbliżającego się okrętu, marynarze francuscy ujrzeli jakąś olbrzymią masę przed sobą. Był to „Egipt“. Nastąpiło gwałtowne zderzenie, po którem okręt angielski począł się oddalać w bocznym kierunku. „Seine“ udał się w poszukiwania za parowcem angielskim, pragnąc się przekonać, czy zaszła katastrofa: Istotnie po dwudziestu minutach ujrzano statek, ale w stanie okropnym. Na pokładzie „Egiptu“ rozgrywały się straszne sceny. Ze wszystkich stron docnodziły przeraźliwe krzyki i wołania o pomoc. Mężczyźni i kobiety rzucali się do wody, chwytając się desek i połamanych belek drzewa. Marynarze francuscy w pośpiechu zaczęli spuszczać łodzie ratownicze celem wydobywania tonących. Akcya ta trwała około trzech godzin. Na tonącym okręcie jakiś człowiek rozpaczliwie wołał o pomoc, trzymając na rękach dwoje dzieci. Ale okręt francuski był także uszkodzony, skutkiem czego nie mógł długo pozostać na morzu. Zabierając na pokład 230 ludzi żywych i 4 trupów, skierował się do Brestu. Liczba ofiar jest bardzo znaczna. W chwili bowiem zderzenia, pomiędzy Hindusami na statku angielskim zapanowała taka trwoga, że na żadne rozkazy komendy nie zwracano już uwagi. Wszyscy cisnęli się do łodzi ratowniczych, które pod wpływem zbytniego obciążenia natychmiast pogrążały się pod wodę. Między innemi zatonęła w ten sposób cała łódź z marynarzami angielskimi, a między nimi pewna nieszczęśliwa kobieta z dwojgiem dzieci. Jacyś dwaj marynarze uchwycili się pływającej deski, gdy z boku tonącego okrętu zerwała się łódka, łamiąc im czaszki. A podczas, gdy rozgrywały się tragiczne sceny na wodzie, na statku pozostał tylko telegrafista, który nie tracąc na chwilę zimnej krwi, bezustannie ponawiał sygnały alarmowe za pomocą okrętowej stacyi radiotelegrafu. Na swoim posterunku wytrwał do końca, idąc wraz z okrętem na dno morza. Pewien Anglik zaopatrzony już w pas bezpieczeństwa, widząc błagającą o pomoc kobietę, oddał jej ten pas, a sam, nie umiejąc pływać, rzucił się do wody. Dalsza pomoc została wysłana na miejsce katastrofy dopiero po powrocie „Seine„ do Brestu. Na ratunek wysłano wszystkie łodzie i statki, znajdujące się w porcie. „Egipt“ zatonął na głębokości 119 metrów w wodzie. Na jego pokładzie znajdowało się około półtora miliona funtów złotych. Wszystkie bagaże pasażerskie i poczta zatonęły. Agonia okrętu angielskiego trwała około pół go-



Poświęcenie kamienia węgielnego pod Bursę im. ks. Skargi w Krakowie: Ks. biskup Nowak dokonuje aktu poświęcenia w dniu 11 czerwca b. r.



Poświęcenie kamienia węgielnego pod Bursę im. ks. Skargi w Krakowie: Po poświęceniu kamienia węgielnego przemawia ks. biskup Nowak od oltarza do zebranych gości i młodzieży.



Nowa placówka oświatowa: Budynek założonej w ubiegłym roku w Częstochowie Szkoły Handlowej.

dziny. W chwili gdy go pokryła woda, rozległo się kilkanaście eksplozyi, pochodzących z oddziału maszyn. Straty w ludziach wynoszą około stu osób.



Nowa placówka oświatowa: Inicyatorzy i wykonawcy projektu założenia w Częstochowie Szkoły Handlowej, pp. E. D. Wilkoszewski wiceprezes, Jerzy Cholewicki prezes, Józef Trzos dyrektor Szkoły (siedzą od lewej ku prawej), Wacław Orzeł skarbnik, J. Młotkowski członek Komitetu budowy i Bolesław Rylski sekretarz Stowarzyszenia (stoją w tym samym porządku).

Poświęcenie kamienia węgielnego pod Bursę imienia księdza Piotra Skargi w Krakowie.

Istniejący w Krakowie od r. 1906 „Związek młodzieży rękodzielniczej i przemysłowej", to instytucya, mająca dla kraju i społeczeństwa nadzwyczaj doniosłe znaczenie. Celem jego opieka nad młodzieżą rękodzielniczą i przemysłową i przygotowanie jej do życia obywatelskiego. Na ten dział wychowania młodzieży zwrócono u nas stosunkowo bardzo późno uwagę, pierwszym, który tem się zajął, był nieodżałowanej pamięci filantrop i przyjaciel młodzieży, śp. prof. dr. Jordan. Inicyatywę, przez niego podjętą, prowadzono w dalszym ciągu i dziś możemy się z dumą pochlubić owocami pracy na tem, tak wdzięcznem polu. To, co w tym kierunku w ciągu lat kilkunastu zdziałano, przedstawia się dziś tak okazale, iż wyników pozazdrościć nam może i zagranica, gdzie pracę tę podjęto daleko wcześniej i w pomyślniejszych warunkach.

Związek młodzieży rękodzielniczej i przemysłowej w Krakowie, mający z czasem rozszerzyć swą działalność na całą Polskę wytknął sobie za zadanie wychować młodzież rękodzielniczą i przemysłową, narażoną aż nazbyt często na złe wpływy, na dobrych Polaków i katolików, tworząc środowisko grupujące ją koło siebie. Instytucya ta, obmyślana na wielkie rozmiary, nie mogła się dotąd z powodu trudności finansowych należycie rozwinąć, obecnie, dzięki poparciu ludzi dobrej woli, rozumiejących dobrze interesy społeczeństwa, przedewszyskiem zaś zabiegom swego niestrudzonego prezesa ks. M. Kuznowicza, rozpoczyna nową fazę swego istnienia, a inauguruje ją poświęceniem kamienia węgielnego pod budowę własnego domu, który pomieści w sobie Bursę dla sześćciuset uczniów rękodzielniczych i przemysłowych imienia ks. Piotra Skargi i zcentralizuje wszystkie działy pracy Związku, tem samem je ułatwiając.

W roku 1906. zabrano się do pracy, mając przed oczyma piękne cele, ale pozatem nic więcej, dziś posiada Związek cztery własne realności, utrzymuje Bursę dla dwustu uczniów i rozporządza kapitałem kilkumilionowym, który jednak, w obecnych ciężkich warunkach do urzeczywistnienia jego celów nie wystarczy, liczy zatem na pomoc ogółu i jednostek i z pewnością się na niej nie zawiedzie.

W niedzielę 11. czerwca b. r. odbyło się uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę gmachu Bursy, na tak zwanej Rejówce, między ulicami Krupniczą a Czystą, gdzie ma stanąć wspaniały czteropiętrowy gmach według planów architekta Krzyżanowskiego.

Po nabożeństwie w kościele św. Barbary dopełnił poświęcenia wobec licznie zebranych przedstawicieli władz, obywatelstwa i młodzieży ks. biskup Nowak, który w pięknem przemówieniu podniósł cele i zadania Związku życząc mu jak najpiękniejszego rozwoju.

Nowa placówka oświatowa.

Z radością i uznaniem witamy każdy objaw dążenia przez nasze społeczeństwo do ułatwienia młodemu pokoleniu nabycia wiedzy, tak dziś każdemu niezbędnej, zwłaszcza zaś w tych okolicach, gdzie szkolnictwo, dzięki stosunkom politycznym, leżało odłogiem i traktowane było po macoszemu, jako złe konieczne. W takich warunkach znajdowała się przedewszystkiem Kongresówka, gdzie rząd rosyjski sam zupełnie nie starał się o to i paraliżował wszystkie prywatne zabiegi, mające na celu podniesienie kultury.



Z sali odczytowej: Poetka i literatka bułgarska, p. Dora Gabe-Penewa, która wygłosiła w Krakowie cykl wykładów o współczesnem piśmiennictwie bułgarskiem.

Dziś jest tam już zupełnie inaczej. Odbudowę szkolnictwa rozpoczęto od podstaw, gruntując je silnie, pomyślano też i o wyższych stopniach, nie zapominając zwłaszcza o szkolnictwie, dającem młodzieży obok teoretycznego i praktyczne wykształcenie. Do tego typu szkół należą szkoły przemysłowe, handlowe i t. p.

Zarząd Częstochowskiego Oddziału Stowarzyszenia Kupców Polskich w Warszawie oceniając należycie potrzebę zawodowego kształcenia naszej młodzieży, postanowił w ubiegłym roku otworzyć w Częstochowie Szkołę Handlową. Nieprzezwyciężone, zdawałoby się, trudności, będące w związku z wynalezieniem odpowiedniego lokalu, usunięte zostały przez przedsiębiorczy i energiczny Zarząd przez nabycie niewykończonego domu, co było tembardziej



Kongres eucharystyczny w Rzymie: Papież Pius XI. w otoczeniu dworu, św. Kollegium i ciała dyplomatycznego podczas wygłaszania alokucyi otwierającej Kongres.

wskazanem, że umożliwiło przy wykończeniu przystosować go do potrzeb szkolnych. Wobec braku dostatecznej liczby uczniów do wyższych klas Szkoły Handlowej, z powodu niedostatecznego przygotowania, a jednocześnie wobec katastrofalnego wprost braku miejsc w gimnazyach państwowych, aby z jednej strony zaradzić wspomnianemu brakowi, a zarazem jak najpraktyczniej wyzyskać posiadany gmach, mieszczący sześć obszernych i widnych sal, uruchomiono trzy klasy o programie gimnazyalnym realnym przyczem klasy pierwsza i trzecia posiadają po dwa równorzędne oddziały.

Uruchomiwszy w pierwszym roku pierwszą klasę handlową rozwiązano dwie bardzo poważne kwestye, uprzystępniono bowiem kształcenie się dwustu pięćdziesięciu chłopcom, a jednocześnie zyskano bardzo wiele przez umożliwienie sobie odpowiedniego przygotowania świeżego materyału do klas specyalnych. Obecnie Zarząd Stowarzyszenia posiada zakupione materyały budowlane na projektowany wielki gmach szkolny, do którego budowy przystępuje z chwilą rozpoczęcia feryi szkolnych. Przeznaczeniem gmachu będzie pomieszczenie w nim ośmioklasowego gimnazyum realnego, z chwilą uruchomienia którego obecny budynek mieścić będzie trzy klasy Szkoły Handlowej oraz internat dla zamiejscowych uczniów.

Zaznaczyć należy, że do zrealizowania tak poważnej i przedstawiającej duże trudności materyalne pracy, Stowarzyszenie przystąpiło bez żadnych zasobów pieniężnych i dzięki tylko własnej energii, pracy i pomysłowości w wynalezieniu źródeł osiągnąć mogło cel zamierzony, do czego w wysokim stopniu przyczyniła się ofiarność miejscowych kupców i przemysłowców chrześcian oraz banków.



„Święto Wiosny": Zespół młodocianych śpiewaków, uczniów i uczenic szkół krakowskich biorący udział w koncertach dnia 11, 18, 25 i 29 czerwca b.r. w Teatrze im. Słowackiego.

RENE BURES.

Zil=X...

30) Tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

Jerzy Dambleuse w tę noc, w którą zamordowanym został kapitan de Limandoux, nie był wcale w Boy tam gdzie mieszkał jego rywal domniemany. Był w Carnetins, na co jest dowód: szpilka sosnowa.

Poszlaka trzecia — mała dziewczynka.

Dlaczego Jerzy Dambleuse okazał tyle wzruszenia na widok jej zwłok?

Odpowiedź: Niewiadomo. Ślad wyczerpany.

Poszlaka czwarta — Zil 27 002.

Kto jest Zil? Jakim sposobem numer 27.002 odnaleziony został w kasie senatora Poivrier i na kopercie zegarka kapitana de Limandoux?

Odpowiedź: Niewiadomo.

Resumé: Pozostaje tylko ślad Zila. Jeżeli nie potrafimy dowiedzieć się kto jest Zil, nie dowiemy się nigdy o niczem.

Tak, to jasne. Jeżeli nie odnajdziemy Zila, nie odnajdziemy nic zgoła. Nie mogliśmy liczyć na zręczność sędziego Giroux. Sędzia Giroux miał w rękach, swojego winowajcę: był nim Jerzy Dambleuse, przeciw któremu nagromadził tyle dowodów obciążających, że mógł go bez wyrzutów sumienia odesłać pod gilotynę.

Bo w końcu, jeżeli Iggins dowiódł przy pomocy szpilki sosnowej, że młody awiator nie był wcale w domu zamieszkanym przez kapitana de Limandoux w nocy zbrodni, uwierzyć w to musimy i potwierdzamy jego rozumowania.

Ale rozumowania takie, które wydają się dobre i ważne w pokoju wygodnym — tracą swoją wartość w gabinecie obojętnego i surowego sędziego.

Nabrałem więc przekonania, że argument o szpilce sosnowej miał może tylko wartość, że się tak wyrażę „uczuciową".

Oczywiście tak było, bo jeżeli tak łatwo Iggins potrafił nas przekonać, to dla tej przyczyny, że wszystkim twierdzeniom i słowom Igginsa wierzyliśmy bez zastrzeżeń — po drugie dlatego, że od początku nie mogliśmy uwierzyć w winę Jerzego Dambleuse. Kierowało więc nami tylko uczucie w tym wypadku, a nie rozumu.

Przypuśćmy, że Iggins z dowodem swoim byłby się udał do sędziego Giroux, jakże by go ten przyjął? Ironicznym, pobłażliwym uśmiechem i zapytałby bezwątpienia w jakim celu Iggins stara się dowieść niewinności Jerzego Dambleuse.

Bo i cóż? Jedna mała szpilka sosnowa zauważona na kolanie konia młodego awiatora, potrafiłaby dowieść tej niewinności i obalić cały gmach misternie wybudowanych twierdzeń i dowodów innych? Trzebaby było udowodnić jeszcze pozatem, niemożność znalezienia choćby jednego drzewka sosnowego na drodze prowadzącej z Rainey do Boy i nie tylko na tej drodze, ale na wszystkich innych drogach znajdujących się w okolicy.

Naprawdę, argument ten był za nędzny i za mało ważny!

Rozmyślałem nad tem i robiłem sobie wymówki, za moją łatwowierność i poddawanie się wpływowi Igginsa. Zila trzeba było koniecznie znaleźć. W tem, leżało całe rozwiązanie zagadki.

Kto był Zil? Otóż, nikt z nas nie miał o tem najmniejszego pojęcia. Ani Dalton, ani nawet Iggins.

A więc co robić? W tym stanie apatyi i zniechęcenia pomyślałem o wyjeździe. Chciałem powrócić do Afryki, przedostać się do środkowej części kraju, gdzie napewno czeka mnie mniej niebezpieczeństwa niż w Paryżu przy jakiejkolwiek ulicy.

Ale równocześnie przyszedł mi na myśl Jerzy Dambleuse, który w krótkim już czasie miał stanąć przed swoimi sędziami, jeżeli do tego czasu nie zdarzy się coś nowego, to jest, jeżeli Dalton, Iggins i ja nie odkryjemy prawdziwego mordercę.

A ja przecież wierzyłem w niewinność Jerzego Dambleuse. Nie byłbym umiał powiedzieć dlaczego, ale wierzyłem. Może dlatego, że był mi jako człowiek sympatycznym i dla tej przyczyny przedewszystkiem, że przeczuwałem, iż dręczy go jakaś straszna tajemnica, że podczas przesłuchania w obecności panny de Beaumont, widziałem jak walczył sam ze sobą, z niezbitą wolą zachowania nadal dla siebie, swojej tajemnicy. I nagle zrozumiałem, że on jeden tylko zna całą prawdę i wyjawić jej nie chce. Z nim to więc przedewszystkiem trzeba było się zobaczyć. Od niego tonależy wyciągnąć zeznania kompletne. — Podniecony tą myślą ubrałem się pospiesznie i pobiegłem do Daltona, aby mu przedłożyć mój zamiar.

— Pan rozmawia z panem Igginsem — powiedział mi na wstępie służący.

— Ah! Czy mam zaczekać?

— Nie! Proszę wejść!

Otworzył mi drzwi i przepuścił.

Iggins i Dalton siedzieli naprzeciwko siebie i palili papierosy.

Przybywasz w porę — rzekł Dalton. — Miałem właśnie posyłać po ciebie.

— Słuchajcie - odezwałem się, siadając przy nich. Zastanawiałem się teraz przez parę godzin nad naszą sprawą. Jest ktoś, który wie wszystko.

— Co? co?

— Tak, jest nim Jerzy Dambleuse. On musi nam powiedzieć wszystko. I powie. Straciliśmy dużo czasu idąc za śladem Zila. Teraz musimy zmienić sposób działania sprowadzimy tu pannę de Beaumont. Ona otrzyma niezawodnie od sędziego pozwolenie odwiedzenia swojego narzeczonego w więzieniu. Tym razem nie oprze się jej może i ulegnie jej wpływowi. Jest to dla nas i dla niego ostatnia deska ratunku. Jak uważacie?

— Doskonale! — mruknął Iggins.

— Zrobimy tak, jak mówię - mówiłem dalej z podnieceniem. — Jerzy Dambleuse niedługo już stanie przed sędziami. Nagromadziło się przeciw niemu za wiele dowodów obciążających, aby mógł ujść przed wyrokiem. Wiecie dobrze, że jego uparte milczenie źle usposobi sędziów dla niego. W ten sposób on nie potrafi nigdy wykazać niewinności swojej. Powinien rozpaczać, przeczyć, wzywać wielkim głosem sprawiedliwości ogółu. Ten sposób podoba się więcej i więcej by podziałał na sędziów i opinię publiczną. Czy nie tak?

— Masz słuszność.

— I cóż powiedzą. „Ten człowiek milczący i uparty musi być mordercą. Niewinność się broni". I zasądzą go. Może nie na śmierć — ale na dożywotnie więzienie lub ciężkie roboty. A z nami co się stanie wówczas?

— Masz słuszność, chłopcze — powtórzył raz jeszcze Iggins. Pracować będziemy dalej dla niego.

— Oh! tak tak — zawołałem. — Szukać będziemy nowych śladów — nieprawdaż? Przejrzymy raz jeszcze wszystkie akta i papiery — zażądamy może rewizyi procesu, a tymczasem on gnić będzie w więzieniu.

— Za dużo mówisz — zauważył Iggins.

— A pan za mało — zawołałem ze złością. I nie znalazłeś nic.

— Cicho! cicho! — uspokajał mnie Dalton.

— Poczekaj trochę i nie sądź za wcześnie. Znaleźliśmy coś — coś ciekawego.

— Co?

— Stara służąca doktora Dambleuse zniknęła bez śladu.

Wzruszyłem ramionami.

— Co z tego?

— Co? Nazywała się Elwira Bourdon. Wychowała ona Jerzego Dambleuse, którego matki nikt nie znał. Kochała go, tą dziką, wierną miłością służących starej daty, przywiązanych jak psy do swoich państwa. Widziano w pierwszych dniach śledztwa, jak chodziła zapłakana, oszalała z rozpaczy. Mówiła sama do siebie, wygrażała komuś, przeklinała. A teraz znikła z domu starego Dambleuse, gdzie żyła dotąd.

— Co myślicie robić?

— Szukać jej.

— I nie chcesz użyć mojego sposobu Daltonie — zapytałem z wyrzutem. Nie chcesz, aby Jerzy Dambleuse zeznał nam całą prawdę?

— Po co? - odpowiedział Dalton. - Nie chciał nic powiedzieć sędziemu i po sześciotygodniowem więzieniu milczy uparcie dalej. Musi on mieć ważne bardzo przyczyny milczenia, będąc tak blisko gilotyny. I ty sądzisz, że jedno sentymentalne widzenie się z narzeczoną zdoła go wyprowadzić z tego milczenia. Takiego człowieka jak on! to niemożliwe!

— Dobrze — mruknąłem dotknięty nieco słowami Daltona. - Dobrze. Niech się stanie jak chcesz. A więc będziemy poszukiwać Elwiry Bourdon. Ale to nie będzie trudnem.

— Oh! Doprawdy!

Tak. Nie będzie trudnem odnaleźć Elwirę Bourdon. Mówiłeś, że przebywała u starego Dambleuse. On przecież musi wiedzieć co się z nią stało. W każdym razie udzieli nam szczegółów tyczących się jej zniknięcia.

Ale zaledwie wymówiłem te słowa, uczułem całą lekkomyślność podobnego rozumowania. Stary Dambleuse usunął się zupełnie od od naszego towarzystwa i nie widzieliśmy go już od dni piętnastu i nie wiedziałem czy to on zawiadomił Daltona o zniknięciu służącej. Czy on się wogóle zajmował jeszcze sprawą syna? Żadnego znaku o sobie nie dał nam dotąd. Zdawało mi się, że Dalton i Iggins także zapomnieli o nim? Czem się zajmował ten stary, dziwaczny człowiek?

— Gdzież teraz znajduje się stary Dambleuse? — zapytałem.

— W swoim pałacu, w Bauqueval — odpowiedział mój przyjaciel.

— Jesteś pewnym tego?

— Tak.

— A więc udajmy się do niego.

— Udamy się.

— Dziś jeszcze?

— Za chwilę.

— Idę z wami - rzekł Iggins powstając z fotelu i podążając ku drzwiom.

Poszliśmy za nim.

Automobil nasz czekał na ulicy. Stary służący miał maszynę prowadzić.

Wsiedliśmy i automobil ruszył w tronę Bouqueval. Przybyliśmy tam w przeciągu godziny.

Pałac był trochę oddalony od wsi. Znaleźliśmy go jednak z łatwością.

Wielka jego budowla wznosiła się nad całą okolicę. Był to nie pałac właściwie, ale zamek obronny z trzynastego wieku. Od strony północnej zachował był on dotąd, wygląd swój dawny. Wieża wznosiła się jeszcze w całości wysmukła i wysoka, jak gdyby zamek chciał zachować chociaż jedną pamiątkę po dawnej swojej świetnej przeszłości. Teraz na dziedzińcu źle utrzymanym gromada kur uganiała się za owadami i muchami, nadając zamkowi wygląd pospolitości wieśniaczej. Południowa strona była cała zamieniona w folwark gospodarczy.

Automobil nasz zatrzymał się na dziedzińcu. Dalton wyskoczył pierwszy i zapukał dosyć silnie do bramy. Ale wewnątrz nic się nie poruszyło.

Poczekał parę minut i raz jeszcze zapukał tym razem jeszcze silniej. Napróżno.

— Czyżby Dambleuse wyjechał? — wymówił Dalton podniesionym głosem.

— Nie — odpowiedział Iggins z głębi auta.

Mówiąc to wysiądł także. Podniósł kamień z ziemi i zaczął się przechadzać pod oknami zabudowań patrząc się w okna. Nagle zatrzymał się — mruknął z widocznem zadowoleniem, wymierzył i rzucił kamyk w jedno z wązkich okien wieży.

Usłyszeliśmy trzask łamiącej się szyby i równocześnie ktoś otworzył okno.

Był to Dambleuse. Przechylił się, poznał nas widocznie i zawołał gniewnym głosem.

— Czego wy tu chcecie?

— Pomówić z panem - odpowiedział Dalton.

— To niepotrzebne.

— Jest coś nowego — nalegał mój przyjaciel. Niech pan pan otworzy.

— Co tam może być nowego — zabrzmiał ironiczny głos starego.

— Nie mogę przecież krzyczeć tak dalej — zniecierpliwił się Dalton.

— Dlaczego nie!

— Dlatego, że nie chcę. Nie jestem przyzwyczajony ja i moi towarzysze, aby nas w ten sposób niegrzeczny przyjmowano.

— A ja znowu nie jestem przyzwyczajonym, aby mi kto przeszkadzał kiedy pracuję — krzyknął ze złością stary - Czego pan chce odemnie?

— Powiedziałem już panu: chcę z panem pomówić.

— Nie mam czasu na rozmowy. — Niech pan napisze i nie przeszkadza mi więcej.

— O to pan bardzo niesympatyczny — odezwał się Iggins. Hej panie Dambleuse.

— Co jeszcze!

— Proszę otworzyć!

— Nie.

— Jeżeli pan teraz nie otworzy dobrowolnie, będzie pan zmuszonym otworzyć za chwilę.

— Doprawdy? I dlaczego to?

— Dlatego, że zmusi pana do tego ajent policyjny, który zaraz nadejdzie. (D. c. n.)

Ernest Eckstein.

Bal maskowy

Z dziennika młodej mężatki.

15 Stycznia.

Czyż mogę nazwać dziennikiem to, co piszę dla ciebie, droga Olesiu? Staram się wszelkiemi siłami być szczerą jak penitent przy konfesyonale, lecz widzisz duszko – czuję mimo wszystkiego, że częstokroć wbrew przepisom pozuję teatralnie. Niejeden drobny wypadek przemilczałam, lub może mimowoli przedstawiałam inaczej... Krótko mówiąc, otwarte, nieubrane wyznanie w dzienniku trudną jest rzeczą! Niegdyś w ów pyszny wieczór lipcowy na sasnickim moście wyobrażałyśmy sobie to wszystko o wiele lepiej! Pół roku odtąd upłynęło i dziś zaczynam czwarty zeszyt!

Strasznie dużo – nieprawdaż Olesiu moja? Ale formalnie brakuje mi czegoś, gdy co kilka dni nie chwycę za pióro i tu w wytwornem półcieniu mego buduaru nie przeniosę na papier tego, co ty cara dolcissima w przyszłe lato masz studywać?

Może zresztą foliały te nie wydadzą ci się nudnemi. Twoim dziennikiem, który oczywiście sto razy będzie interesowniejszym, cieszę się naprzód niewypowiedzianie, choćby z powodu twego ślicznego arystokratycznego pisma. Moje jest tak pobieżne, pensyonarskie, jakkolwiek niestety mam już rok dwudziesty drugi.

Ach! Olesiu! jak ta młodość prędko ubiega! W czerwcu już będzie dwa lata od mego zamążpójścia! Dwa lata! Strasznie jestem starą! Widzę w duchu twój miły, roztropny uśmiech... Masz słuszność. Życie nasze jest jeszcze w majowym blasku... a co dalej?

Dosyć omówień – i in medias res, jak zwykle wyrażał się nasz profesor historyi! Mam ci donieść jedno zdarzenie i to widzisz Olesiu! przykre, fatalne i nader bolesne. Zamiar tego doniesienia był pierwszym motorem do poważnego rozbioru szczerości mego dziennika. Dotąd, biorąc ściśle, zaznaczałam tylko bagatelki, bo zresztą nie wydarzyło się istotnie nic ważniejszego. Ale to, co dziś mam obwieścić, musi być wierne, z najdrobniejszymi szczegółami z pominięciem własnej osoby, niemiłosiernie nawet, jednem słowem w stylu „Confessions" Rousseau'a zregestrowane.

Ciężki błąd mam sobie do wyrzucenia, teraz już zań jestem okrutnie ukaraną! ach, któż wie, co przyszłość jeszcze przyniesie!

Dziś jest sobota; w przyszłą środę rozstrzygnie się, czy twoja Alida na wieki ma być nieszczęśliwą, żegnając wszystko, co było jej radością i szczęściem, lub czy też może on w ostatniej chwili upamięta się.

16 stycznia popołudniu.

Rudolf wczoraj przerwał mi rozpoczęty frazes. Otworzył drzwi, pytając, czy nie miałabym ochoty pójść na nową operetkę, którą od kilku dni zajmują się w mieście.

Bezwstydny!

A wyglądał przytem tak spokojnie, słodko, niewinnie, jak nowonarodzone dziecię.

Zatrzasłam tekę i wyjąkałam coś o migrenie.

– Ach! – zauważył – to przejdzie. Tu w twej ładniutkiej budzie (pomyśl tylko, mój buduar nazywa budą) z zagłuszającą wonią rezedy każdy rozsądny człowiek musi dostać bólu głowy. Świeże powietrze cię orzeźwi, zbierz się tylko kochanie!

Wszystko to powiedział tak spokojnie, tak naturalnie, jak gdyby nic nie zaszło, a przecie, wiem pewnie, że list otrzymał, przeczytał go i – ach! to okropne!

Nie gniewaj się Olesiu! Nim zrozumiesz mnie w połowie, wyczerpie się twoja cierpliwość. Zatem ab ovo! (Nie wiem, dlaczego zwroty mowy profesora historyi ciągle przytaczam).

Przedwczoraj odwiedziła mnie pani Ilowska. Pamiętasz ją – w czasie mego wesela była sąsiadką twego ojca – okazała, roztropna kobieta, dochodząca trzydziestki, ale zawsze jeszcze jak panienka wyglądająca, młoda i niezwykle piękna, co muszą przyznać najzazdrośniejsi. Z powodu nadto pełnych kształtów najczęściej ubiera się czarno z karmazynowym lub złotym przystrojem. Gdy idzie przez ulicę, można liczyć na pewne, że z dwudziestu mężczyzn ośmnastu oglądnie się za nią z najwyższem zajęciem, jakże mam to powiedzieć?

No – rozumiesz mnie! Ma sposób obejścia bez odcienia kokieteryi robić się wpadającą w oczy. A co jest najważniejszem: pani Ilowska podoba się nietylko mężczyznom, lecz jeszcze więcej kobietom. Wszystkie jesteśmy jej uprzejmością, rozumem, taktem i zachowaniem się zachwycone, szczególnie my młodsze, które ona z pewną macierzyńską wyższością traktuje. Dwudziesto-ośmio lub dziewięcioletnia mateczka! Jednem słowem, panowanie jej nad nami jest niezaprzeczone. Idzie o nową fryzurę, oczywiście najpierw radzi się pani Ilowskiej; układa się bal domowy, soiré z scenicznem przedstawieniem, bazar, pani Ilowska przedewszystkiem musi wyrzec tu zdanie. Co powie, święcie jest przyjętem. Ma najlepszy smak, najtrafniejszy sąd o rzeczach i tyle pomysłów ile dni w roku. Gdy ukaże się nowy romans i pani Ilowska uzna go godnym czytania, przez następne ośm tygodni mówią o nim powszechnie. I tak dalej i dalej.

Zatem przedwczoraj królowa ta zjawiła się u mnie o wpół do pierwszej. Rudolf wyszedł właśnie do biura telegraficznego, ażeby ważną depeszę do Wiednia wyprawić; urzędnicy tak łatwo robią pomyłki. Usiadłyśmy w zacisznym kąciku i rozpoczęła się pogadanka, w której twoja Alida tylko „tak" lub „nie", a czasem „Czy możebne?" i tym podobnie wyrzekła, ponieważ pani Ilowska nam zwykłym śmiertelniczkom podczas pierwszych dwudziestu minut nigdy nie da przyjść do słowa.

W końcu rozmowa zeszła na mężczyzn.

– Oh! ci mężczyźni! – rzekła z westchnieniem – cóż za natury! Bezwzględni, próżni, samolubni, niewierni!

– A – rzuciłam się – w każdym razie są przecie pocieszające wyjątki!

– Tak? – czy znasz pani choć jeden.

– Hm, myślałabym!... Albo może chcesz pani coś memu Rudolfowi zarzucić?

Wstrząsła ramionami.

– Pan Tyrów nie jest lepszym od nich.

– Ależ kochana baronowo!...

– Tak – tak – przerwała – pani masz wszelkie powody czuć się szczęśliwą! Pan Tyrów jest miły, towarzyski mężczyzna; posiada więcej rozumu, niż większa część młodych ludzi w stolicy; jest uważającym małżonkiem, otwartym, pewnym przyjacielem; ale mon Dieu!

„W jednym punkcie mężczyźni są nadspodziewanie jednolici, rozsądni czy ograniczeni, nudni lub zabawni, młodzi czy starzy..."

Roześmiała się. Śmiech ten, wierzaj Olesiu! wszystką krew napędził mi do głowy, jakkolwiek w połowie tylko zrozumiałam, co chciała powiedzieć.

No, ale niedługo zostawiła mnie w niepewności. Pomyśl tylko cara dolcissima (gdybym nie wiedziała, że jesteś zaręczoną, a zatem poniekąd wliczasz się już do naszego cechu, nie odważyłabym się pisać czegoś podobnego, gdyż to dla młodej dziewczyny nie przystoi właściwie) pomyśl tylko, twierdziła ona z zastraszającą pewnością, iż mimo wszelkich pozorów świątobliwości i uczciwości w całem wyższem towarzystwie, niema jednego mężczyzny, któryby był wiernym swej żonie! A jeżeli zdarzy się, to wyjątkowo, to li tylko z braku sposobności!

Tym razem obruszyłam się naprawdę. Przyzwyczajeni jesteśmy wprawdzie do jej paradoksów, ale coś podobnego przechodzi już granice!

– Kochana baronowo – rzekłam nieco uszczypliwie – nie wiem, jakie pani zrobiłaś doświadczenie w tym kierunku, ale mnie jej sceptyczna mądrość nie odbierze bynajmniej wiary w wierność mego małżonka. Jeżeli się ktoś, jak Rudolf i ja z najczystszej miłości pobierze...

– Na miłość boską! – nie bądź pani tak patetyczną! Ja nic nie twierdzę! przypuszczam tylko możliwość!... Wreszcie; jak dawno jesteś pani zamężną? Półtora roku? No, pour dire vrai to są jeszcze prawie miodowe miesiące! Do takich młodych małżonków pokusa zbliża się tylko wyjątkowo. Później to przychodzi. Lecz mnie się zdaje, gdzie brakuje pokusy, tam wierność nie jest zasługą.

– Oh! – odparłam z uczuciem pewności – na to mogłabym bez obawy zezwolić.

– Na pokuszenie?

– Tak jest baronowo.

– Zaufanie godne zazdrości.

– Pani mnie formalnie wyzywasz.

– Jako żywo! – ale gdybyś pani żądała, przyjęłabym każdy zakład.

– Nie zakładam się, ale wiem dokładnie!

– Aha! Składasz broń – śmiała się pani Ilowska. Jeżeli nie chcesz, bez wątpienia podobny zakład nie przyjdzie do skutku. Nie zakładamy się, gdy jesteśmy pewnymi przegranej.

Wyrzekła to w tonie takiej wyższości, iż uczułam się zakłopotaną.

Baronowa oddawna uchodzi za wyborną znawczynię ludzi. Wiedziałam, że żyła w świecie, że miała niezliczone stosunki.... Przeto było do darowania, przyznasz mi droga Olesiu, iż w duszy orzeczeniu tej dziwnej kobiety przypisałam pewną ważność... Nic łatwiej nie schodzi jak ziarnko nieufności; gdzie tylko znajdzie ślad gruntu, zapuszcza korzenie.

Zatem – krótko mówiąc, przyszło do tego, że założyłam się z baronową.

Ach! jakże żałowałam tej nierozwagi! Jednak potem o tem! Przeeawszystkiem powinnaś się dowiedzieć o co założyłyśmy się, inaczej uważałabyś w końcu swoją Alidę za gorszą, niedelikatniejszą niż jest w istocie.

Gdy przegram zakład, wtedy z zemsty oczywiście, prześliczną bransoletę, którą Rudolf kupił mi na urodziny, dam na dobroczynny bazar hrabiny Bruckner; jest tak piękną i kosztowną, że bezwątpienia stanowić będzie piece de resistance całego zbioru, w którym przeważnie znajdują się same drobnostki.

W przeciwnym razie, gdyby Rudolf z próby wyszedł zwycięsko (o czem wówczas mimo niezwykłego rozdrażnienia nie wątpiłam) baronowa miała obowiązek na tutejszy „przytułek dla kobiet" pierwsze 30.000 marek zapłacić; następnie zaś musiała przeprosić mego męża za brzydkie o nim mniemanie i powiedzieć mu, iż była autorką całego zawikłania.... zawikłania mianowicie, które go „doświadczać" miało.

Warunki zostały ułożone. Teraz posłuchaj, co Twoja Alida uczyniła.

Podczas gdy pani Ilowska patrzała na ulicę, którędy Rudolf miał powrócić, rozrumieniona usiadłam przed pięknem mahoniowem biureczkiem, wzięłam najmodniejszą ćwiartkę papieru, którą dniem przedtem u Crusiusza kupiłam, zatem której Rudolf nie znał i zmienionym charakterem napisałam, co następuje:

„Gdy kobieta odważy się naturalne szranki obyczaju i wychowania śmiało przełamać i żonatemu mężczyźnie życzenie schadzki oświadczyć, jest dla niej jedno tylko uniewinnienie: siła nieposkromionej namiętności. Wszelako na krok podobny nigdy bym się nie zdecydowała, gdyby nie przeświadczenie, że Rudolf Tyrrów w gruncie serca nie jest szczęśliwym... Dosyć... Nieznajoma, która sądzi, że pojmuje pana zupełnie,. prosi o danie jej sposobności podczas balu maskowego w głównej sali do obopólnego wynurzenia. Po ukończeniu wielkiego pochodu masek, znajdziesz mnie pan na estradzie pomiędzy trzecim a czwartym słupem. Mieć będę szafirowe domino z jasno-niebieskimi brzegami. Dla pewniejszego spotkania, upraszam pana wybrać podobną maskę, nadto na prawem ramieniu przypiąć kokardę z pąsowego atłasu. Wszystko z największą ostrożnością. Mimo to byłoby pożądanem, żeby żona pańska nie znajdowała się na balu, co łatwo pan osiągniesz, gdy zmyślisz dnia tego podróż nieodzowną. W tęsknem oczekiwaniu. Viola".

Skończywszy, podałam list baronowej.

– Po mistrzowsku! – wyrzekła ta dwa czy trzy razy. – Skądże pani nabrałaś tej niesłychanej rutyny? A potem, to pisma! Słowo daję, żaden rzeczoznawca sądowy nie poznałby, iż jesteś autorką tych leżących rezolutnie literek! Zwykle zmienione pismo wyglądają na to, że są zmienione. Tu jednak – filutka z ciebie kobiecino!

Nie bardzo ucieszyłam się tą, nieco studencką, aby nie rzec lekceważącą pochwałą. W milczeniu odebrałam liścik od baronowej i zaadresowałam go.

– Ach! le voila! – zawołała instruktorka, gdy przeciągałam wałek bibulasty po papierze. Skończono w sam dobry czas. Podaj mi pani bilecik, wrzucę go do skrzynki.

Zaczerwieniłam się po uszy przy jej „le voila". Drżącą ręką przylepiłam markę i złowrogi dokument, który miał mi przynieść tyle zmartwienia, wręczyłam baronowej. Ta jakby była do tych rzeczy przyzwyczajoną, z zimną krwią wsunęła go do kieszeni, podczas gdy głos dzwonka rozległ się w przedsionku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.

(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

10)

Znalazły się wreszcie na dziedzińcu, gdzie natknęły się niespodzianie na leżącego na ziemi człowieka. Już chciały się cofnąć, gdy Iza w leżącym poznała Nelina.

Poskoczyła ku rzeźbiarzowi.

— On omdlał.

Aż do chwili, gdy miał zginąć, trzymał się siłą woli; lecz kiedy uszedł śmierci, uczuł nagle takie wyczerpanie, że z wielkim trudem przedostał się poprzez ruiny na ten rozległy dziedziniec, gdzie nogi nie tak grzęzły, jak dotych czas, ale naraz zrobiło mu się słabo, upadł i stracił przytomność.

Kiedy go Iza z Maryą docuciły, jął pytać, skąd się wzięły i co się wogóle stało.

Iza nie mogła sama, lecz Marya powiedziała mu wprost, komu zawdzięcza ocalenie.

Artysta rozpłakał się jak dziecko i całując swą wybawicielkę po rękach, długo oblewał je gorącemi łzami.

Kiedy zupełnie przyszedł do siebie, zadecydował, że trzeba stamtąd uchodzić, by się na nikogo nie natknąć... i postanowił opiekować się obu kobietami.

Wyprowadził je na przeciwną stronę ruin i wskazał im cmentarz.

Był to cmentarz stary, gdzie w ostatnich czasach chowano już tylko tych, co tu mieli grobowce rodzinne. Ten przybytek spokoju na brzegu rzeki robił wrażenie pięknego ogrodu i nie przerażał pustką grobową.

— Tu będzie najlepiej ukrywać się przez pewien czas — poradził Nelin — i po ciemku jeszcze poprowadził swoje towarzyszki do furty w grubym murze.

Drzemał tam dziad, który rozbudziwszy się, tak się przeląkł nocnych gości, że chciał uciekać. Ale go Nelin wstrzymał i kazał zbudzić starego dozorcę cmentarza.

— To, uważacie, mój dobry znajomy. Wszak ja na tym cmentarzu mam pomnik, nad którym długo pracowałem.

— A prawda — przypomniała sobie Iza — sarkofag córki Alferowa.

Czekano nie długo i wreszcie w furcie zjawił się siwy, dobroduszny staruszek. Poznał rzeźbiarza odrazu.

— A cóż wy tu wszyscy do mnie będziecie po nocy uciekać.

— Jakto wszyscy, a któż jeszcze?

— Ano jakżeż... już z wieczora musiałem go wpuścić.

— Kogo?

— Alferowa.

— To i on tutaj... Więc żyje.

— Ano biali pootwierali więzienia, więc wyszedł z celi i znalazł się na mieście wolny. Ale kiedy się okazało, że czerwoni nadal gospodarują, trzeba się było ukryć tam, gdzie go nikt nie będzie szukał... i przyszedł do mnie koło wieczora na cmentarz.

— Śpi u was?

— Gdzie tam... nie chciał... Powiada, że przy córce bezpieczniej.

— Spędza noc przy grobie?

— A to i dla mnie lepiej... widzicie... bo w taką noc ich zemsty, jak dzisiaj, to i w moim domu szukać mogą... A po grobach nie będą.

— Tak, ojcze kochany... to i my tam przepadniemy gdziekolwiek w tym ogrodzie mogił, byle doczekać ranka...

— No, a tym paniom... to straszno nie będzie między nieboszczykami?

A na to Iza oparła rękę o ramię staruszka i szepnęła:

— To, cośmy już widziały... jest straszniejsze napewne... niż wnętrze wszystkich twoich grobów...

I pod rękę ująwszy Maryę, szła przed siebie spokojna.

Budził się świt z ptaszęcym świegotem, gdy Nelin wyprowadził je w aleję, na której końcu bielił się pomnik jego dłuta.

Właśnie zaróżowiło się niebo, gdy stanęli w pobliżu sarkofagu.

Iza i Marya wpatrzyły się, jakby w jakąś wizyę nadziemską.

Te martwe alabastry, brzaskiem zaróżowione, żyły w tej chwili i szeptały jakąś pieśń anielską.

Zdawało się, że ten anioł gra na swojej harfie, a dzieweczka na kamiennem łożu budzi się z nocnego spoczynku i pyta:

— Gdzie mój ojciec?

A właśnie z poza sarkofagu wysunęła się naraz męska postać i szła ku nim. To był Alferow, wielki bogacz fantasta.

Podszedł do Nelina, wyciągnął ku niemu obie ręce, uścisnął je mocno, a potem rzucił mu się na szyję i zapłakał serdecznie.

Później; ukryci w altance pod płaczącemi brzozami, rozmawiali we czworo długo o wszystkiem, co przyniosły dni ostatnie, a najdłużej o tej nocy czarnej... pod miliardem gwiazd złotych... mordującej bez litości.

— Co począć dalej?

— Jak się ukryć...

— I jak żyć..

Tuż nieopodal cmentarza, zupełnie na krańcu miasta, zaczął Alferow przed laty budowę ogromnych magazynów. Gotowe dopiero były podwaliny i sklepienia olbrzymie, głębokie piwnice, gdy wojna przerwała robotę. Zostawiono wszystko i cały plac budowy sprawiał wrażenie zupełnego opuszczenia.

Jedynie obok prowizorycznego domku stróża sterczała wielkich rozmiarów szopa, która służyła za pomocniczą pracownię rzeźbiarzowi w czasie robót około sarkofagu na pobliskim cmentarzu.

To może być dla nich czworga dzisiaj jedyne schronienie. Nikt o tem nie wie, nikt tam nie pójdzie szukać nikogo z nich. Więc najbezpieczniej będzie odrazu tam się przenieść.

— Stróż — człowiek pewny... podobnie jak ten siwiutki dozorca cmentarza.

— To nasi ludzie — mówił Alferow — a ten stróż niedokończonych magazynów to mój zaufany... i tylko dzięki temu, że tam jego trzymam... mogłem coś niecoś ukryć w owych lochach w chwili, gdy czerwoni mieli zająć miasto... Więc widzicie... poradzimy sobie.

Obawa tylko o losy pomnika grobowego nie dawała spokoju strapionemu ojcu. To wspaniałe dzieło rzeźbiarskie, jeżeli wpadnie w oczy nowych gospodarzy miasta, gotowo stać się również ofiarą ich wandalizmu.

Więc przed wyjściem z cmentarza debatowali jeszcze przez chwilę obaj — fundator i twórca pomnika, czemby można go osłonić, żeby tak nie zwracał uwagi swą niepokalaną białością... i zaszli jeszcze do staruszka na naradę.

Wreszcie opuszczono cmentarz i za chwilę dostano się do swej przyszłej siedziby.

Z pomocą stróża rozgospodarowali się w szopie i ułożyli na spoczynek, tak nieodzownie im wszystkim potrzebny po strasznych przejściach ostatnich godzin.

Gdy Iza miała zasypiać, słyszała wyraźnie muzykę Zygmunta. A kiedy oczy otwarła jeszcze raz przed zaśnięciem, nachyliła się nad jej twarzą głowa Edwarda i usta jego do jej warg przywarły.

W tej samej chwili Alferow, zamykając oczy, składał wargi wyraźnie do pocałunku, a usta jego szeptały:

— Klaudyo... Klaudyo...

A Marya, jeszcze zasnąć nie mogąc, powtarzała sobie rozpaczliwie:

— Czemu ty mnie, Pawle, nie przyjdziesz pocieszyć?

Spali ciężko, gdy w samo południe ziemia pod nimi zaczęła się trząść. Zerwali się, słuchali.

Walono z armat raz za razem... gęsto, miarowo... bez końca. Powietrze huczało, wszystko dudniało.

Zachodzili w głowę, co to być może, gdy do szopy wcisnął się ukradkiem stróż i dał im wyjaśnienie.

To w środku miasta, na wielkim skwerze naprzeciw soboru, wykopano olbrzymią mogiłę, do której zwieziono na wozach tysiąc kilkaset ciał porąbanych, posiekanych nie do poznania. Zwalono je tam i zasypano.

A potem na olbrzymi grób zatoczono działa.

— I teraz grają im pożegnalnego marsza — dodał stary stróż. Tam podobno naokół od tego marsza wszystkie okna wypadły wzdłuż całych ulic, a działa grają dalej.

— Ha, tryumfują — mruknął Alferow — cieszą się czerwoni, że jednak oni dalej w mieście panują.

— Wie pani... dziwna rzecz — odezwał się rzeźbiarz do Izy — mam wrażenie, że słyszę Edwarda... mówiącego swój „Biały Sztandar..."

— Tak, panie... on właśnie stoi przed nami i recytuje swój wiersz.

— Co! — zakrzyknął Alferow — mąż pani?

— Tak... Cicho! nie przeszkadzajcie mu...

— Ja go nie widzę — szepnął Nelin — ale słyszę...

Na to Marya, twarz zakrywszy rękami, rzuciła się na piersi Izy i wybuchnęła strasznem łkaniem.

IX.

...Spytajcie samego rzeźbiarza... on się zna na tem najlepiej — mówił Julian Alferow — niech on mi przyzna, że takiego zbioru, jak te moje kolorowe gemmy, nie posiada żadne muzeum...

Ani co do ilości... ani co do wartości artystycznej... żadna kolekcya kameowa nie może iść w porównanie z moją...

Ale też zbierałem... latami... w trzynastu krajach... I pewnie dzisiaj jakiś cały kraj dałoby się kupić za to, co są warte moje gemmy... Prawda, kochany Piotrze...

A ja właśnie Nelinowi zawdzięczam najświetniejsze okazy... On mi pomagał... on doradzał... Jak się niemi cieszył zawsze... A w jednej to się poprostu zakochał!

— Pamiętasz, Piotrze?

Różyczką ją nazwał... Cudowna była naprawdę... Różowa... na tle seledynowem... Uderzała plamą miedziano złocistych włosów... Co za rysy... Co za profil...

Nabyło się ją w Paryżu za drogie pieniądze...

Artysta słuchał i milczał, jak gdyby nic nie wiedział, o czem przy nim mówiono.

A bogacz dalej opowiadał, jak przeczuwając nadejście czerwonych, zaniepokoił się o swoje zbiory i ukrył je bezpiecznie.

Przynajmniej takby się zdawało, że tego schowka nikt nie odnajdzie. A była nim obszerna alkowa w pałacu, w którym Alferow mieszkał w mieście samotnie po śmierci córki.

Ubikacya ta mieściła się tak na uboczu, że, zamurowawszy do niej otwór, można było nie zauważyć jej w rozkładzie lokalu.

Tam zamknął on swoje gemmy i zatarł wszelkie ślady, prowadzące do kryjówki.

Wiem Piotr się odezwał:

— Julianie, a gdzie moja Różyczka?

— Zamurowana — odparł Alferow.

— Zamurowana — mruknął Piotr.

Rozmawiano przy nim dalej, on zaś nic o tem nie wiedział, bo jedna myśl, w tem jedynem słowie zawarta, prześladowała go odtąd nieodzielnie: — zamurowana!

Wydało mu się to straszne... On tego nie zniesie...

...Zamknięta... zamurowana... w ciemnie grobowe wtrącona...

— Ja ją uwolnię! — szepnął sobie wreszcie z mocnem postanowieniem.

. . . .

I odszukał ukrycie. Domacał się mogilnego głazu i dobrał się do muru...

Aż nareszcie grobowiec Różyczki odwalił.

Znalazł ją i pocałunkiem wskrzesił martwą. Ożyła mu w rękach.

Wyniósł ją na ulicę. A kędy przebywać im wypadło, wśród mroków nocnych, natrafiali wszędzie na wielkie krwi kałuże, z których biły opary śmierci, zmagającej się dopiero z życiem...

— O, nie patrz, Różyczko, na te plamy czerwone, znaczące naszą drogę... Twój wzrok nie zniósłby ohydy tego widoku.

— Krew — szeptała — krew... Całe rzeki krwi... ja już raz widziałam...

...Ja tę woń krwi dobrze znam... Pamiętam... pamiętam... Dawno... bardzo dawno...

...Czarowne ogrody Tuillerów... przepych królewski... szał uciech... w kalejdoskopie miłostek, intryg i przygód...

...A potem... Boże!...

...Mury Bastylii... męka więzienna...

...Długa ze spowiednikiem rozmowa...

...I kat...

...Krew na szafocie!

...I moja głowa w krwi...

Różyczka stoczyła się do stóp Piotra Nelina. Podniósł ją zrozpaczony i pokazał Adzie.

— Ja ją tak kochałem — żalił się wzruszony.

Wtedy Ada, o harfę oparta, uderzyła naraz palcami o jękliwe struny i pieśń mu śpiewać zaczęła smętną o miłości, która milczała jak gemma.

. . . .

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Tegoroczne Zielone Święta przeszły stosunkowo dość cicho, a to ze względu na niepogodę, która zwłaszcza w pierwszy dzień t. j. w niedzielę, popsuła program zabawy wielu wycieczkowców, nie uznających tych świąt bez wybrania się tradycyjnego na Bielany. Choć deszcz padał prawie całą noc i rano, a następnie i popołudniu, cały dzień zaś wisiał jak to mówią w powietrzu, bardzo wiele osób wybrało się na Bielany, gdzie jednak ruch nie przypominał bynajmniej lat przedwojennych. Dopiero drugi dzień t. j. w poniedziałek, frekwencya znacznie się zwiększyła, przedsiębiorcy karuzeli, huśtawek, kramarze i przekupnie rozmaitego rodzaju podwyższyli też ceny, aby sobie odbić niepowodzenia z dnia wczorajszego. Opłata za przejazd furką z Krakowa na miejsce lub z powrotem zwiększyła się również w poniedziałek, gdy więcej było amatorów jazdy, zdających sobie dobrze sprawę z wartości złówek i niskiego stanu naszej waluty. Nagół nie było jednak zwykłego ożywienia i ruchu, choć w Krakowie bawiło w tym czasie bardzo wiele osób zamiejscowych, przeważnie Górnoślązaków.

Nasi bracia górnoślązacy spieszyli w mury starego Krakowa niczem wyznawcy Machometa do świętej Mekki, spotkało ich jednak bardzo przykre rozczarowanie, przekonali się bowiem, że krakowscy kupcy i przemysłowcy kierują się zasadą: „Kochajmy się jak bracia, rachujmy się jak żydzi", a o lepsze z nimi idą i prywatne jednostki, dające chętnie pod swym dachem gościnę przybyszom, ale drące ich bezlitośnie ze skóry.

Słyszeliśmy naprzykład narzekania pewnego Górnoślązaka, iż w krakowskich restauracyach i knajpkach liczono mu po czterysta marek za kieliszek wódki i to tak niewielkich rozmiarów, iż zachodziła obawa, że go połknie. Na zakończenie wywiadu oświadczył, że w Krakowie warto mieszkać, ze względu na pamiątki historyczne, których tu nie brak, ale broń Boże, nie należy się przyznawać, że się jest Górnoślązakiem, gdyż człowieka ogolą i to bez brzytwy. Zauważył przytem, że Kraków pozostawił po sobie u każdego Górnoślązaka wrażenie miasta bardzo drogiego, nietyle jednak dla serca, ile dla kieszeni. Pół miliona na osobę na opędzenie kosztów wycieczki do Krakowa w obecnych warunkach i to bez jakich nadzwyczajnych wystrzałów to kwota ledwo że wystarczająca.

Nie mogło się też pomieścić w głowie Górnoślązakom, przyzwyczajonym do pruskich porządków, że w stolicy Piastów i Jagiellonów można spotkać na ulicach i placach tyle śmieci i błota. Wyrażali z tego powodu swoje zdziwienie gdy dowiedzieli się z ust oprowadzających ich po mieście Krakowian, że nie są to śmiecie ani błoto w ścisłem tego słowa znaczeniu, lecz średniowieczna patyna, nadająca Krakowowi właściwy mu staroświecki charakter. Zresztą śmieci nie spotyka się podczas deszczu, a błota niema gdy jest pogoda.

Deszcz w pierwszy dzień Zielonych Świąt był jakby zamówiony przez magistrat, nie narobił bowiem zbyt wiele błota, a miasto tanim kosztem jako tako wyczyścił.

Jeśli się doda do tego, że w drugi dzień Zielonych Świąt pękł kocioł w elektrowni miejskiej i pogrążył miasto w ciemnościach, ponadto, iż odbywał się równocześnie strajk drukarzy *Kuryera Codziennego*, który sam siebie uważa za najważniejszy i najbardziej miarodajny organ miejscowej prasy, ma się dokładny obraz okresu świątecznego, należącego już do przeszłości. Większość Krakowian, między nimi i kronikarz o Zielonych Świętach jak gdyby nie wiedzieli, to jedno sobie chwaląc, że mają dwa dni do wypoczynku, przedewszystkiem zaś niedziela kiedy z powodu deszczu nie opłacilo się wychodzić z domu choćby nawet na tradycyjne niedzielne flaczki.

Żyliśmy w tym czasie pod wrażeniem wiadomości, nadeszłej z Warszawy, o wniesieniu dymisyi przez gabinet Ponikowskiego i zastrzeżeniu sobie przez Naczelnika Państwa czasu do namysłu do wtorku. Na ten temat toczono zażarte dyskusye i rozpuszczono tak fantastyczne przypuszczenia, że i dziwić się nie można kupcom i przemysłowcom, iż gwałtownie podnieśli ceny w obawie zbliżającego się końca świata. Każdy obywatel i obywatelka, bo i niewiasty zajmują się dziś polityką, stawiał na najbliższą przyszłość tak ponure horoskopy, że poprostu odchodziła ochota do dalszego życia. Pokazało się przytem ilu posiadamy kandydatów na ministra spraw zagranicznych. Przekonano się, że można ich liczyć nie na tuziny, lecz na kopy, a każdy z nich ma swój własny program sanacyi obecnych stosunków, jeden mądrzejszy od drugiego. Do niedawna uważaliśmy Lloyda Georgea i dra Benesza za największych polityków, obecnie okazuje się od chwili traktatu w Rapallo, że w kozi róg zagnał tamtych Cziczerin, nasi zaś domorośli statyści są nawet i od niego daleko mądrzejsi, nie różnią się zaś od tamtych tylko tem, że przedewszystkiem własne interesy mają na celu.

Powodem dymisyi II gabinetu Ponikowskiego, która ostatecznie została przyjętą, a członkowie jego przeszli pod znak „O. P. K." (Onufry, pakuj kufry...), jest jak stwierdzają depesze brak należytego autorytetu, niemożność stworzenia większości rządowej, zupełne rozprzężenie wewnętrzne, niepowodzenia polityki zagranicznej.

Co do pierwszych punktów zgadzamy się najzupełniej na nie bez zastrzeżeń, co do ostatniego jednak musimy wyrazić pewne zdziwienie, co bynajmniej nie wyklucza, że nie byliśmy nigdy zwolennikami kierunku, przyjętego i popieranego przez pana Skirmunta. Ale nie tak dawno, bo zaledwie dwa tygodnie wstecz, spotykaliśmy w naszych pismach codziennych tak entuzyastyczne artykuły o tryumfach skirmuntowskiej polityki, zwłaszcza w Genui, iż poprostu wierzyć się nie chce, że ten obecny Skirmunt, któremu zarzuca się najzupełniejszy brak oryentacyi politycznej, to jedno i to samo ciało z poprzednim, który miał być politycznym geniuszem. Albo zatem poprzednio, albo obecnie, jak powiada Rusin „przesadzono w sakramentach", albo też w obydwu wypadkach. Faktem jest jedno, że na wypadek wojny bylibyśmy najzupełniej odcięci od reszty świata, a zawdzięczyć mamy to nie opatrzności naszych polityków zajmujących stanowiska kierownicze. Nasza reprezentacya w Pradze czeskiej z panem Piltzem na czele kokietuje stale „braci" Czechów, ci zaś za jej plecami zawierają z Bolszewią traktat, w którym zobowiązują się do zupełnej neutralności na jej korzyść, co równa się odcięciu nas prawie zupełnemu od reszty Europy. Wystarczy rzucić okiem na nasze granice zachodnie i południowe, aby się przekonać jak serdecznym objęli nas uściskiem. Jeśli się zważy ponadto, że do Europy mamy tylko dwa okna, t. j. jedno w stronę Bałtyku, drugie zaś skierowane ku Rumunii, a oba bardzo niepewne, to przyznać się musi, że dotychczasowa nasza polityka zagraniczna więcej nam zaszkodziła, niż przyniosła korzyści.

Owe hymny pochwalne na cześć wzmocnienia naszego stanowiska politycznego na konferencyi genueńskiej, dzięki znakomitemu wystąpieniu ministra Skirmunta, ogromnie dziwnie wyglądają, jeśli się je porówna z obecnymi zarzutami powtarzanymi przez te same pisma. Czytaliśmy naprzykład dokładnie artykuły pełne uznania dla pana Skirmunta w *Illustrowanym Kuryerze*, jeszcze z przed dni dziesięciu, opisy powitania go jako tryumfatora (powracającego z walki bykow), i dziś na podstawie tego samego organu dojść musimy do przekonania, że nasz minister spraw zagranicznych nie nadaje się nawet na pisarza gminnego w Kiaju lub Facimiechu.

Z ulgą możemy odetchnąć, gdy nareszcie pękła bomba i wyraził zadowolenie, że stało się to stosunkowo dość wcześnie, gdy jeszcze nie zdołaliśmy stracić wszystkich atutów. Nasuwa się jednak bardzo smutne pytanie, jaki będzie dalszy ciąg i jakie można roić nadzieje na przyszłość, a odpowiedź na nie jest bardzo niepewna i bynajmniej nie dodająca otuchy.

Le roi est mort, vive le roi!... Poszedł spać jeden gabinet, przyjdzie po nim drugi. Co straciliśmy z ustępującym wiemy, jakich korzyści przysporzy nam następca, to dopiero muzyka przyszłości, jako taka, dla ucha zwykłego śmiertelnika bardzo niezrozumiała.

Jeśli się zastanowimy nad tem, co straciliśmy z chwilą ustąpienia dotychczasowego gabinetu „Ponikowski II", dojdziemy do przekonania, że zespół ludzi, ożywionych może i najlepszemi chęciami, ale nie umiejących sobie dać rady w obecnych, bardzo zagmatwanych stosunkach. Nie ulega kwestyi, że byli między nimi i ludzie, którzy najzupełniej dorośli do zajęcia tak odpowiedzialnych stanowisk (np. dr. Michalski), nie brakło jednak i takich, którzy na fotel ministeryalny dostali się jedynie dzięki swej przynależności partyjnej, nie zaś zdolnościom. Ów nieszczęsny „klucz partyjny" zamiast otwierać, zamyka przed nami jaśniejszą przyszłość, żadne bowiem stronnictwo nie zrzeknie się swego stanu posiadania i obsadzi nie tylko przyznane sobie fotele, lecz obsadziłoby wszystkie, choć nie posiada ludzi odpowiednich. I to zaznać należy przyczyny złego.

Czy będzie inaczej przy utworzeniu nowego gabinetu, w to bardzo wątpić należy, długie narady klubów politycznych nie rokują nic dobrego, gdy tymczasem nad głową wisi nam miecz, grożący każdej chwili katastrofą. A nawet w tak poważnej chwili nie zapominają nasi politycy o swych własnych interesach i osobistych sympatyach. Aż nadto dosadnie świadczy o tem wysuwanie przez endecyę Ponikowskiego, jako kandydata na premiera, byle iść na przekór Belwederowi. Aby raz u nas zrobić porządek, tak wewnątrz kraju, jak i w stosunku do zagranicy, trzeba nam koniecznie naprawdę żelaznej ręki, która zmiażdżyć ująć wszystko w tryby, a krnąbrnych swawolników nauczyć moresu, choćby im się to nawet miało i nie podobać. W każdym dziale administracyi państwowej potrzeba nam gruntownej reformy, która usunęłaby dotychczasową dezorganizacyę, a to nie dojdzie nigdy do skutku bez zgodnej pracy wszystkich stronnictw razem. Nie należy zaś czekać ostatecznej chwili, jak to było dwa lata temu wstecz, gdy bolszewicy dochodzili już pod bramy Warszawy, lecz usunąć złe, póki czas na to. Stać się to zaś może tylko wtedy, jeśli teki ministeryalne odda się w powołane ręce, a ogół posłeski pójdzie im zgodnie na rękę. Zwalczanie wniosku, choćby miał dla państwa i najdonioślejsze znaczenie, dlatego tylko, że wyszedł lub popierany jest przez przeciwne stronnictwo, jak się to dotąd u nas praktykowało, wprowadza wewnątrz kraju chaos i zamęt, a wobec zagranicy naraża nas na pośmiewisko i zupełnie zasłużone wytykanie, że nie dorośliśmy do samodzielnego bytu.

Najwyższy czas, aby złemu kres położyć, jeśli nie chcemy, by nas skreślono znowu z listy organizmów żyjących, tym razem może raz na zawsze.

Najgorszą bolączką naszą, zajmującą drugie miejsce po niefachowości najodpowiedzialniejszych jednostek, a będącą właśnie jej następstwem, jest choroba robienia oszczędności w sposób narażający nas na największe straty i najniepotrzebniejsze wydatki. Jak dziwnie naprzykład przedstawiają się narzekania na zatrważające wprost zwiększanie się z każdym dniem bandytyzmu, przy równoczesnej redukcyi ze względów oszczędnościowych sił policyi państwowej. Z czystem sumieniem możnaby natomiast zwinąć u nas co najmniej połowę istniejących urzędów, w pozostałych zaś zmniejszyć personal, ale musiałoby się oddać je w ręce ludzi fachowych, nie zaś dyletantów. W ten sposób przeprowadzone oszczędności, choć przez jednostki chwilowo boleśnie odczute, ogółowi przyniosłyby jedynie korzyść i materyalną i moralną.

Do chwili, gdy ogonek kronik oddajemy drukarni do dalszego urzędowania, t. j. do poniedziałku wieczór, przesilenie gabinetowe nie zmieniło się zupełnie i sprawa wyboru nowego premiera nie jest jeszcze ostatecznie załatwioną. W Warszawie z tego powodu ruch niezwykły, odbywają się ustawiczne narady klubów poselskich, konwentu seniorów, konferencye z marszałkiem sejmowym i posłuchania u Naczelnika Państwa, a wszystko dotąd nie dało pozytywnego rezultatu. Do ostatniej chwili zdawało się, że prezydent Ponikowski otrzyma poraz trzeci mandat utworzenia nowego gabinetu, kombinacya ta jednak upadła. Na stanowisko nowego premiera wysuwają rozmaite kandydatury, kto jednak obejmie spadek po panu Ponikowskim, jest jeszcze tajemnicą, która powinna być rozjaśnioną w najbliższym czasie.

Pomiędzy kandydatami do tek ministeryalnych rochawka oczywiście nadzwyczajna, jak wogóle przy każdem przesileniu. Na każdy z foteli jest tylu amatorów, iż przez rok cały możnaby na nich codziennie sadowić kogo innego, a jeszcze nie zaspokoiłoby się ambicyjek wszystkich, uważających się za najodpowiedniejszych do podjęcia się tak trudnych zadań. Każde stronnictwo ma niemal tylu kandydatów na ministrów ilu liczy członków, wybór zatem dość trudny.

Przesilenie obecne daje różnym frakcyom politycznym miłą i pożądaną sposobność do wzajemnego podstawiania sobie nogi, w organach prasy, stojących na ich usługach, wre też zamiętna walka podjazdowa, rzekomo w obronie interesu ogółu, czego się jednak bardzo trudno dopatrzeć, raczej na każdym kroku wyłazi stare szydło z worka t. j. uwzględnienie przedewszystkiem hasła *pro partia* a nie jak należałoby sobie życzyć *pro Patria*. Z całej tej polemiki okazuje się aż nazbyt jasno, że tak wszystkie stronnictwa razem jak i każde z osobna, nie życzyłyby sobie bynajmniej ujęcia steru rządów przez gabinet, który okazałby się naprawdę energicznym i cel swój i żądania rozumiejącym.

Do czwartku, t. j. do dnia, gdy *Nowości Illustrowane* opuszczają prasę drukarską, sytuacya się niezawodnie wyświetli, Duch Święty, który w dzień Swego Zesłania nie zstąpił na naszych wielkich polityków uczyni to może w późniejszym czasie naszego pisma będziemy już mogli powitać nowego prezydenta wraz z jego zespołem i zastanowić, czy też rządy państwa dostały się w odpowiednie ręce.

Kongres eucharystyczny w Rzymie.

Jedną z najwspanialszych manifestacyi religijnych, jakie widział świat, był międzynarodowy Kongres eucharystyczny w Rzymie, który się odbył w ostatnim tygodniu maja b. r. przy olbrzymim napływie wiernych nietylko z całych Włoch, ale i dalekiej zagranicy. Śmiało powiedzieć można, że były tutaj reprezentowane wszystkie części świata i wszystkie stany. Nie brakło także i innowierców, który w podobnych okolicznościach zjeżdżają tłumnie do Rzymu, aby podziwiać wspaniałą pompę, z jaką odbywają się tego rodzaju uroczystości.

Zaznaczyć wypada, iż obecnie w powojennych czasach zmieniło się dziwnie usposobienie rzymskiego tłumu, który jeszcze kilkanaście lat temu wstecz, odnosił się wrogo do wszelkich objawów uczuć szczerze katolickich. Jest to niewątpliwie następstwem zmiany dotychczasowej polityki Watykanu wobec Kwirynału, prowadzonej w dalszym ciągu przez obecnego Papieża, Piusa XI., występującego w roli apostoła miłości i zgody.

Kongres eucharystyczny rozpoczął swe prace po uroczystem otwarciu przez Papieża i prowadził je przez szereg dni wedle zgóry ułożonego programu, na który składały się odpowiednie nabożeństwa i obrady.

Kulminacyjnym punktem Kongresu, który na długie czasy pozostanie w pamięci uczestników, była procesya eucharystyczna, urządzona po ulicach Rzymu. Brakło w niej wprawdzie Papieża, nie opuszczającego murów Watykanu, mimo to wypadła nader okazale i wywarła głębokie wrażenie nawet i na mieszkańcach Wiecznego Miasta przyzwyczajonych do podobnych uroczystości.



Kongres eucharystyczny w Rzymie: Motyw z wielkiej procesyi eucharystycznej w Rzymie Grupa symbolizująca siedm bazylik patryarchalnych.

Na całej przestrzeni od bazyliki św. Jana do Colosseum zebrały się tłumy. Pałace i domy ozdobiono czerwienią i różnokolorowym aksamitem. Na balkonach i tarasach pełno widziów.

O godzinie trzeciej po południu aeroplany rozrzuciły kartki z błogosławieństwem dla Rzymu, Włoch i całego świata. Dzwony zaczynają dzwonić. Idzie oddział kawaleryi, potem dzieci i młodzież. Wszyscy śpiewają hymny i mówią pacierze. Większość idących w procesyi należy do sfer robotniczych.



„Święto Wiosny": Inicyatorzy i kierownicy „Święta Wiosny".



Uczczenie pamięci poległych kadetów: Odsłonięty we Lwowie pomnik, poświęcony pamięci lwowskich kadetów, poległych na Górnym Śląsku.



Uczczenie pamięci poległych kadetów: Jeneralicya, korpus oficerski i goście, biorący udział w odsłonięciu we Lwowie pomnika poświęconego pamięci poległych na Górnym Śląsku.

Kiedy przechodzą sfery uniwersyteckie włoskie i niemieckie i studenci w czapeczkach korporacyi, rozlegają się długie oklaski. Potem idą zakony i wyższe duchowieństwo. Nakoniec pod baldachimem ukazuje się kardynał Granito di Belmonte. Baldachim niosą między innymi książęta Orsini i Colonna. Za nimi kroczą kardynałowie, każdemu z nich towarzyszy paź w sukni fioletowej i służący w czarnem ubraniu. Przed błogosławieństwem, które ma być udzielone z wysokości logii pięć małych dziewczynek w bieli z szarfami, na których są nazwy wszystkich części świata, stoją przed św. Sakramentem. Żołnierze prezentują broń i kardynał udziela błogosławieństwa.

Uroczystego zamknięcia obrad kongresowych dokonał w bazylice św. Piotra również Ojciec św. O godzinie 11 przybył do kościoła Papież, witany fanfarami i okrzykami tłumów. Opuściwszy sedia gestatoria Papież zaintonował „Te Deum", poczem

udzielił zebranym błogosławieństwa. Stąd zniesiony w sedia gestatoria do wejścia do bazyliki, udzielił Papież ponownie błogosławieństwa, poczem powrócił do swych apartamentów. W uroczystości uczestniczyło 30 kardynałów i 400 biskupów oraz korpus dyplomatyczny akredytowany przy Watykanie.



Zamordowanie naczelnika stacyi w Radziszowie: Sytuacya, w jakiej przybyłe z Krakowa organa śledcze znalazły ś. p. Wiesiołowskiego na miejscu wypadku.

„Swięto Wiosny".

Nauczycielstwo krakowskie, które na każdym kroku okazuje swe dążności do krzewienia kultury wśród młodzieży nie tylko w murach szkolnych, ale i poza szkołą, przystąpiło do wystawienia w Teatrze miejskim im. J. Słowackiego wspaniałego widowiska scenicznego p. t. „Swięto Wiosny" układu i pod kierunkiem p. Antoniego Iseppiego, przy współudziale licznego grona pań i panów nauczycieli. — W wykonaniu koncertu bierze udział z górą 1000 młodzieży płci obojga, oraz orkiestra operowa i nauczycielska w liczbie 60 osób. Cały niemal Kraków z niecierpliwością oczekiwał tego „Swięta młodości", a wszyscy milusińscy niepokoją tatusiów i mamusie, aby mogli podziwiać swoich rówieśników.

Nie po raz pierwszy będziemy mogli podziwiać tego rodzaju widowisko sceniczne. Jeszcze podziś dzień jesteśmy pod wrażeniem zeszłorocznej „Polskiej wiosny".

Obecny koncert przewyższa wszystko, co dotychczas było wykonane. Olbrzymie chóry młodzieży, brzmiące jak gdyby chóry aniołów, szepty kwiatów, korowody i pląsy, śpiew słowika i muzyka żabek, łączą się w czarowną całość, która od początku przykuwa widza i potęguje jego zainteresowanie w miarę posuwania się akcyi.

Jeżeli piszemy o samym koncercie, warto i zaznajomić czytelników o całej robocie przygotowawczej. Jest to praca zbyt skomplikowana i trudna, ale tak dla młodzieży, jakoteż i dla nauczycielstwa nad wyraz przyjemna. A więc przedewszystkiem do chórów wybiera się jednostki obdarzone znakomitym słuchem i głosem. W kilkunastu szkołach wre gorączkowa praca od kilku miesięcy. Tymczasem odbywają się próby orkiestrowe, sceniczne, choreograficzne, gimnastyczne, deklamacyjne, scen zbiorowych i solistów. Kilkadziesiąt pań przygotowuje wspaniałe kostyumy, ozdoby i dekoracye.

W pewnych odstępach czasu przygotowania grupowe. Wszędzie tchnie życie, praca miła; dziatwa miasto wałęsać się bezczynnie, ma godziwą, przyjemną i pouczającą rozrywkę.

Ale nie tylko na tych zewnętrznych objawach kończy się cel, do którego zmierza wykonanie takiego popisu. Rozbudzenie zamiłowania piękna, uczuć szlachetnych, przyzwyczajanie młodzieży do skrupulatnego wypełniania przyjętych na siebie obowiązków, wyrabianie samodzielności, poczucia estetyki, umiłowanie ojczystej mowy, ziemi, przyrody — szlachetne współzawodnictwo i dążność do osiągnięcia jak najlepszych wyników — oto moralne i nieocenione korzyści, jakie młodzież odnosi. Toteż w sercach rodzicielskich budzi się prawdziwa wdzięczność i niewygasła pamięć o tych obywatelach-pedagogach, którzy na polu oświaty i kultury nie szczędząc trudów i pracy, pozostawiają nam piękny przykład swych starań, zmierzających ku chwale naszej Ojczyzny i jej przyszłych pokoleń.

Jak niezarte i wzniosłe uczucia budzą się w sercach młodzieży, niechaj świadczą fakta, że nawet tacy, którzy przeszli do wyższych szkół, skwapliwie zgłaszają się do komitetu, aby mogli wziąć udział w koncercie.



Powrót excesarzowej Zyty z Madeiry: Excesarzowa Zyta w otoczeniu rodziny przed udaniem się na pokład hiszpańskiego statku „Infantka Isabela Bourbon".



Hindenburg w roli agitatora politycznego: Pochód tryumfalny urządzony przez Wszechniemców w Olsztynie, podczas jego podróży po Prusach Wschodnich.



Powrót excesarzowej Zyty z Madeiry. Arcyksiążę Otto przed wyjazdem z Funchal udaje się z kwiatami na grób ojca.

Pierwszy popis młodocianych artystów - amatorów odbył się w Teatrze miejskim im. Słowackiego w dniu 11 czerwca, następne zaś odbędą się w dniach 18, 25 i 29 czerwca b. r.

Z sali odczytowej.

Dzięki staraniom Towarzystwa polsko-bułgarskiego urządziła p. Dora Gabe-Penewa, wybitna poetka i literatka bułgarska i tłómaczka na język bułgarski arcydzieł literatury polskiej, w Warszawie, Poznaniu i Krakowie szereg wykładów, mających na celu zapoznanie polskiego społeczeństwa z piśmiennictwem odrodzonej Bułgaryi.

Pani Gabe-Penewa jest żoną profesora Uniwersytetu sofijskiego, wielkiego przyjaciela Polaków i doskonałego znawcy naszych dziejów i literatury, który wśród społeczeństwa bułgarskiego szerzy niestrudzenie ideę jak największego zbliżenia między obu bratnimi narodami i w tym duchu stara się wpływać na młodzież bułgarską, mającą w jego seminaryach sposobność zapoznania się z dotychczasowym dorobkiem kulturalnym Polski. Profesor Penew jest jednym z najczynniejszych członków Towarzystwa polsko — bułgarskiego i współredaktorem wydawanego w Sofii „Przeglądu bułgarsko — polskiego", w jego pracy dzielnie dopomaga mu jego żona, doskonała znawczyni naszych stosunków i literatury od najdawniejszych do najnowszych czasów. Ostatnio wydała pani Gabe-Penewa „Antologię poetów polskich" w języku bułgarskim, podając Bułgarom najcelniejsze utwory polskiego pióra w wytwornem i pełnem zrozumienia ducha autora tłómaczeniu na język bułgarski.

Cykl odczytów, wygłoszonych w dniu 10. 11. i 12. czerwca b. r. w sali Kopernika *Collegii novi* zapoznał kulturalny Kraków z współczesnem piśmiennictwem bułgarskiem, a zarazem z tamtejszymi stosunkami. Pani Penewa w barwnych i pełnych uniesienia słowach scharakteryzowała działalność najwybitniejszych przedstawicieli literatury bułgarskiej na tle tamtejszych stosunków w epoce zrzucania z siebie pętów wiekowej niewoli i utrwalania swego samodzielnego politycznego bytu.



Echa zjazdu genueńskiego: Cziczerin (na prawo) w towarzystwie przewódcy genueńskich komunistów i prywatnego sekretarza Gabryela d'Annunzio.

Uczczenie pamięci poległych kadetów.

W pierwszych dniach ubiegłego tygodnia obchodziła lwowska Szkoła Kadecka smutną, ale rzewną i piękną uroczystość uczczenia pamięci swych wychowanków, którzy młode życie swoje złożyli ofiarnie na ołtarzu Ojczyzny, stając w obronie jej zachodnich kresów.

Nazwiska młodych bohaterów, którzy krwią swoją zrosili graniczne rubieże, to ozdoba dziejów lwowskiej Szkoły Kadeckiej, nic też dziwnego, iż pomyślano o tem, aby je w godny sposób podać pamięci potomnych, w szczególności zaś wszystkich tych, którzy w tych samych murach szukać będą światła, mającego im ułatwić spełnienie swych obowiązków wobec kraju i społeczeństwa.

Dzień uroczystego odsłonięcia pomnika kadetów, poległych w śląskiej potrzebie, obchodzili obecni wychowankowie Szkoły bardzo uroczyście wobec licznie zebranych przedstawicieli wojskowości, Sokolstwa i instytucyi oraz zaproszonych gości.

O godzinie 9 rano na boisku lwowskiej Szkoły Kadetów uszykowali się w oddziałach pod bronią wychowankowie zakładu, na prawem skrzydle stanęło Sokolstwo z prez. Borowcem, na lewem orkiestra 19 pp. Przed ołtarzem zajęła miejsce jeneralicya wraz z całym korpusem oficerskim i zaproszeni goście, rektor Kasprowicz, del. Województwa Zimny, prez. Tow. dziennikarzy Laskownicki i inni oraz liczna publiczność.

Dziekan polowy ks. Bogucki odprawił mszę św. żałobną, poczem aktu odsłonięcia pomnika dokonał dowódca lwowskiej Szkoły kadeckiej, major Michalski, który w podniosłej mowie polecił pamięć i przykład tych swoich podkomendnych, co złożyli daninę z życia dla wielkości Ojczyzny, ich towarzyszom broni i kolegom.

Na cokole kamiennym widnieje artystyczny medalion bronzowy, przedstawiający orła z rozpostartemi skrzydłami o pochylonej nieco głowie, niosącego w dziobie krzyż „Virtuti militari", jakby miał nim ozdobić umieszczoną poniżej tablicę z napisem: Kadetom, poległym w obronie Górnego Śląska 1921, poczem następują imiona: Czekaliński Henryk, lat 17; Toczydłowski Zygmunt lat 17; Laszczyński Zbigniew, lat 18; Pszczółkowski Zygmunt, lat 19; Chodkiewicz Karol, lat 20.

Powrót excesarzowej Zyty z Madeiry.

Pobyt rodziny byłego cesarza Karola na Madeirze, gdzie tamtejszy klimat bardzo ujemnie wpływał na jej zdrowie i pociągnął za sobą śmierć ex cesarza, ukończył się. Excesarzowa Zyta opuściła Funchal w towarzystwie swych siedmiorga dzieci i matki, księżnej Bourbon — Parma, która przybyła na Madeirę, aby towarzyszyć córce w podróży powrotnej. Szczupły orszak, tworzący obecny dwór cesarski, składał się z kapelana, nauczyciela dzieci i damy do towarzystwa. Na pokładzie parowca „Infantka Izabela Bourbon", dostarczonego przez dwór hiszpański, przybyli wygnańcy do portu w Kadyksie w dniu 21. maja b. r., gdzie powitały ich władze hiszpańskie i ludność bardzo sympatycznie odnosząca się do nieszczęśliwej rodziny.

Bezpośrednio z portu udano się na dworzec kolejowy, gdzie oczekiwał nadzwyczajny pociąg, którym excesarzowa wraz z rodziną, obecnie goście hiszpańskiej pary królewskiej, odjechała natychmiast w stronę Madrytu. Podczas postoju w Sewilli powitała przejeżdżających infantka donna Luiza i ofiarowała excesarzowej bukiet.

Na dworcu kolejowym w Madrycie oczekiwała przybycia gości para królewska w otoczeniu rodziny i licznego dworu. Po uroczystem powitaniu towarzyszono przybyszom do pałacu Pardo, który królestwo hiszpańscy oddali wygnańcom do dyspozycyi.

Tutaj, w dniu 31. maja, powiła excesarzowa córeczkę. Matka i córka mają się dobrze, ostatnie przejścia i trudy podróży na stan ich zdrowia nie wywarły ujemnego wpływu.

Hindenburg w roli agitatora politycznego.

W ścisłym związku z ogłoszenym podczas konferencyi genueńskiej sojuszem niemiecko-bolszewickim stoi ostatnia podróż Hindenburga, tego bożyszcza i nadziei wojennej partyi niemieckiej, marszcej stale o odwecie, do Prus Wschodnich, która zmieniła się w prawdziwy pochód tryumfalny wojującej Germanii. Była to oczywiście z góry uplanowana manifestacya polityczna, skierowana przeciw Koalicyi, bezpośrednio zaś także i przeciw Polsce. Przymierze niemiecko-rosyjskie ma bowiem niewątpliwie na celu przywrócenie *status quo ante* o ile to dotyczy Niemiec, to jest zwrócić im Gdańsk i bezpośrednie połączenie Prus Wschodnich zresztą Rzeszy. Sama Rosya i same Niemcy nie byłyby znów tak niebezpiecznym wrogiem pokoju europejskiego, gdy natomiast, złączone ze sobą sojuszem, zagrażają mu poważnie.

Podana przez francuskie pisma do wiadomości świata notatka o koncentracyi silnych sił wojskowych bolszewickich na północno-wschodniej granicy polskiej, nabiera znaczenia w związku z prawie równoczesną objażdżką Hindenburga po Prusach Wschodnich, dokąd przybył celem pokrzepienia ducha narodowego tamtejszych Niemców, ziejących nienawiścią ku wszystkiemu, co polskie i czekających tylko na sposobność, by dać jej folgę. A łatwo bardzo stać się to może, gdyby sowiety zaatakowały Polskę, wówczas Niemcy wyciągną swą grabieżczą dłoń po korytarz pomorski, Gdańsk zaś powróci sam do nich.

O przygotowaniach militarnych ze strony Niemiec mówi się niewiele, każdy jednak wie o tem, że cały kraj, zatem także i Prusy Wschodnie, pokryty jest siecią tajnych organizacyi wojskowych, stanowiących kadry przyszłej armii, a zaopatrzonych obficie we wszelki materyał wojenny. Objazd tych placówek, to cel podróży Hindenburga, który ma Niemcom przywrócić utracone w wojnie światowej znaczenie. Gdziekolwiek się pokaże, witają go Niemcy już dziś jako zbawcę i tryumfatora, a nadzieje ich wzrosły znacznie po ogłoszeniu traktatu w Rapallo. Zakończenie podróży miało przebieg zupełnie niepożądany. W królewcu urządzono wielką paradę wojskową na cześć Hindenburga, podczas której przyszło do starcia między komunistami a wojskiem. Wojsko dało ognia, padło kilka trupów, kilkadziesiąt osób odniosło rany.



Z teatrów: P. Hanka Ordonówna, art. oper. w Teatrze „Opera i operetka". Fot. art. „Studio".

Zamordowanie naczelnika stacyi kol. w Radziszowie.

W piątek ubiegłego tygodnia obiegła nasze miasto wiadomość o zamordowaniu naczelnika stacyi kolejowej w Radziszowie pod Skawiną i obrabowaniu kasy stacyjnej z kilkunastu milionów marek. Wieść ta tylko w części okazała się prawdziwą. Ofiarą morderców padł w samej rzeczy naczelnik tamtejszej stacyi, Rudolf Wiesiołowski, morderstwa dokonano jednak, jak wykazują wyniki dotychczasowego śledztwa, na tle osobistych porachunków, a nie w celach rabunkowych.

Jak stwierdzono, we czwartek, 8. czerwca wieczorem naczelnik Wiesiołowski po przybyciu pociągu krakowskiego powrócił do biura i położył się na otomanie, gdzie zasnął. Drzwi pozostawił niezamknięte, z czego skorzystał morderca i wszedłszy do biura, wystrzelił do śpiącego, raniąc go w brzuch. Wiesiołowski zerwał się, pochwycił w rękę lampę i zbierając opuszczające go siły, podążył za mordercą, który zbiegł. U drzwi wypadła mu lampa z rąk, zdołał jednak wybiedz przed budynek, gdzie dosięgły go dalsze kule mordercy, kładąc go na miejscu trupem. W tym czasie bawił w poczekalni trzeciej klasy robotnik stacyjny i jakieś rzekomo mu nieznane indywiduum. Gdy uszu ich doszedł huk strzałów, a robotnik chciał pospieszyć, aby zbadać ich przyczynę, osobnik ów doradził mu, aby dla bezpieczeństwa skrył się pod ławą, co też uczynił. Po chwili, gdy odgłosy strzałów ucichły wybiegli obaj z poczekalni. Robotnik tuż przy drzwiach natknął na trupa naczelnika, nieznajomy zniknął tymczasem niespostrzeżenie w ciemnościach nocy.

Sp. Rudolf Wiesiołowski odniósł trzy rany, z których najcięższą była skierowana w serce. Pochodziły one od kul rewolwerowych.

Wdrożone przez Policyę Państwową dochodze-

nie wykluczyło *a limine* mord rabunkowy, kasa bowiem była nienaruszoną, ustaliło natomiast przypuszczenie, że wchodzą tu w grę osobiste porachunki. W toku śledztwa, prowadzonego na miejscu przez organa wywiadowcze z Krakowa, aresztowano kilku kolejarzy, między nimi zaś niejakiego Feliksa Krzeczowskiego, którego przewieziono do Krakowa pod silną strażą, jako domniemanego sprawcę mordu.

Osobnik ów był swego czasu jako podurzędnik kolejowy, przydzielony do służby stacyjnej w Radziszowie, w czasie której popadł w silny zatarg ze ś. p. Wiesiołowskim jako ze swą władzą przełożoną na tle służbowem. W następstwie rzeczy został on wydalonym z kolei. Aresztowanie nastąpiło w Leńczach to jest we wsi oddalonej o milę drogi od Radziszowa, w chwili, gdy osobnik ów wychodził z kościoła.

Echa Zjazdu genueńskiego.

Zjazd w Genui, który wiele czasu i pieniędzy kosztował, a do budowy zniszczonej wojną Europy zupełnie się nie przyczynił, miał przecież jednę dobrą stronę, wykazał mianowicie, po jak błędnych drogach idzie dotychczasowa polityka Koalicyi.

Trzeba przyznać, że na pierwszy plan wybił się w Genui Cziczerin, którego zdolnościom dyplomatycznym, jak się pokazuje, nawet Lloyd George, choć uważa się za największego polityka świata, nie dorówna.

Patrząc na Cziczerina, podziwiając jego gładkość i sprawność, nabrali Włosi jeszcze więcej sympatyi do bolszewizmu, który pod modrem niebem Italii wcale już silne zapuścił korzenie. Przed swym odjazdem, odwiedził Cziczerin obecnego przewódcę duchowego Włoch, d'Annunzia, w jego willi nad jeziorem Garda.

Wizyta ta jest tematem rozmów, domysłów i wniosków. Wobec niej w opinii powszechnej na plan dalszy zeszedł przebieg Rady ministrów, obradującej prawie w permanencyi wobec walk fascistów z socyalistami.

Opinia włoska jest zdania, że spotkanie z Cziczerinem wywrze wielki wpływ na włoskiego poetę. To też z niezwykłem napięciem oczekują we Włoszech ukazania się nowego dzieła d'Annunzia na temat zagadnień natury społecznej i narodowościowej. Nowy wzrot d'Annunzia, budzący ogromne zainteresowanie w społeczeństwie włoskiem ma polegać na tem, że d'Annunzio zmierza objąć przewodnictwo nad wszystkimi związkami włoskich marynarzy. Zamierza dalej wystosować do młodzieży włoskiej wezwanie, by występowała z wszelkich organizacyi partyjnych, gdyż te są tylko narzędziami w walce klas. Według doniesień „Epoki" zoryentowanie polityczne d'Annunzia skierowuje się, o ile chodzi o politykę zagraniczną, ku zbliżeniu do Rosyi, a przeciw Francyi.

Ciekawe było pożegnanie Cziczerina z Włochami. Wydał on bankiet na cześć komendantów oraz funkcyonaryuszy policyi genueńskiej, jako również konwoju policyi, eskortującego go podczas konferencyi. Podczas bankietu Cziczerin w gorących słowach zwrócił się do policyantów, dziękując za opiekę oraz za specyalne względy, których doznawał przez cały czas pobytu we Włoszech. Cziczerin wyraził podziw swój dla sprawności organizacyi policyi włoskiej oraz żal, że nie może, pomimo szczerych chęci udekorować orderami jej przedstawicieli. Obecnie w Rosyi — mówił komisarz sowiecki — istnieje jeden tylko order Czerwonego Sztandaru, który przyznany być może wyłącznie obywatelom rosyjskim za zasługi położone dla bolszewizmu. Chcąc wynagrodzić ten brak, Cziczerin obdarzył obecnych na bankiecie pamiątkową fotografią swoją z dedykacyą.

Z TEATRÓW

Łudził się śp. Lucyan Rydel, gdy wierzył, iż przez napisanie swojej Zygmuntowskiej Trylogii wejdzie na szczyt dramatycznej twórczości... Niestety, tymi piętnastoma aktami nie zakasował nawet siebie samego tak, że stale za najlepszy i najciekawszy utwór tego poety uważamy i uważać będziemy jego barwną baśń dramatyczną p. t. „Zaczarowane koło"... Trylogia pozostanie pracowitą pamiątką, dziełem pełnem erudycyi, dobrej woli, przeczystego języka polskiego, ale dziełem „nie biorącem" ani za serce, ani za duszę. Ze wszystkich zaś trzech części niewątpliwie najsłabszą ostatnia — pod napisem „Ostatni z Jagiellonów"... Ten Zygmunt August, jak wiadomo — umysł pierwszorzędny, horyzont rozległy, przedstawiony w utworze jako „ostatni" niedołęga, grzebiący kwadransami w perłach i drogich kamieniach, mocujący się ze wstrętem z dość chamowatą Giżanką, zrezygnowany i apatyczny — nie budzi nawet litości, tylko jakąś dziwną przykrość i niesmak. Nawet przez niego szczęśliwie do końca przeprowadzony akt Unii lubelskiej w utworze tym jest słabo umotywowany i ciężko przeprowadzony... Trudno, nie pisze się utworów poetyckich — jako zadania życia i powziętego opracowania na temat historyi...

Wznowiono ten utwór w teatrze im. Słowackiego z powodów „aktualnych", ponownego połączenia się Polski z Litwą... ale tylko środkową... Zresztą zaczekamy na nowego Zygmunta Augusta... Zestawiać przedstawienia obecnego z minionymi czasami przedwojennymi — sądzę — że do zadań zbyt miłych nie należy...; dlatego z Teatru Słowackiego uciekam chyłkiem koło kawiarni Sauera na Starowiślną i wstępuję do Teatru Nowości...

„Dziewiczy profesor" albo Swięty Ambroży (Der heilige Ambrossius) zaintrygował mię... Profesor i dziewczę... Skojarzenie pojęć dość wyzywające!... Znam dotąd dziewicze „profesorki", zwłaszcza te z tytułem „doktór"... Są one odpowiednio długie, niesamowicie chude, straszliwie nieponętne, mające stale melancholijne wejrzenie na świat, pretensye do życia i otoczenia, kryje w swem dziewiczem łonie więcej, niż ma je legion kobiet zamężnych, lat wprawdzie wiele jeszcze nie posiadają (cyfra bowiem waha się od 30 do 50 wiosenek!), lecz z tem wszystkiem są „naprawdę" dziewicze, mimo różnych snów, marzeń... Dziewiczy jednak profesor — to gatunek rzadszy, aczkolwiek i ten zoologom i psychiatrom jest już znany!!... Jak takie dziewictwo powstaje i gruntuje się?? Odpowie na to przedewszystkiem filologia starożytna i starożytna historya!!... „Ablativus absolutus", „quippe qui z conjunctivem", porwanie Sabinek, oraz dzieje Tarkwiniusza Pysznego — oto sprawcy profesorskiego dziewictwa — a nie rzadko aberacyi mózgowej... I nasz Ambroży Birnhaber więdnie i utlenia się w dziewiczości długi kawał czasu, aż nareszcie i on! i on... ujrzał, przejrzał, zobaczył... potem się zakochał i ożenił!!

Pomysł operetki Wilnera (muzyka Leona Falla) zły nie jest, owszem mógł być wprost arcyzabawny... niestety przy końcu zbanalizowany i „machnięty"... Niektóre jednak sceny i pomysły doskonałe; muzyka (niema jej dużo!) bardzo melodyjna i subtelna wyróżnia się nad wyraz korzystnie... Grano „Profesora" starannie, konkurując o lepsze z operetką przy Rajskiej ulicy... P. Winiaszkiewicz np. nie szarżuje, gra spokojnie a zabawnie, niemniej p. Woliński, E. Pilawski, panie Krajewska, Kamińska, Czernekówna i Wirska... Co się tyczy tańców, to te nie miały tego temperamentu, jaki widzimy w teatrze Opera i operetka. Tam cały szereg jednostek, a zwłaszcza p. Ordonówna „bierze" publiczność odrazu wstępnym bojem, ratując nieraz sobą i tanecznemi ewolucyami operetki grubo słabsze. *b—ı.*

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego